



Do Amritsaru dojechaliśmy późnym wieczorem, więc zobaczyliśmy tylko tyle ile można zobaczyć, jadąc rykszą z dworca do hotelu. Zresztą po podróży pociągiem, który do Waranasi przyjechał z prawie pięciogodzinnym opóźnieniem i tego opóźnienia w drodze do Amritsaru nie nadrobił, nic nam się już nie chciało poza tym, żeby wziąć prysznic i przyjąć pozycję horyzontalną. W pędzącym pociągu spędziliśmy ponad 22 godziny. Ale my się szybko regenerujemy i już następnego dnia byliśmy gotowi czerpać energię z SADZAWKI NEKTARU NIEŚMIERTELNOŚCI, bo nazwa Amritsar właśnie to oznacza w sanskrycie.

Amritsar to liczące ponad milion mieszkańców miasto w stanie Pendżab, niedaleko granicy z Pakistanem. Nas interesowały tam dwie rzeczy: Złota Świątynia Sikhów, zwana także Hari Mandir oraz ceremonia zamknięcia granicy z Pakistanem, podczas której żołnierze obu zwaśnionych państw wykonują popisową musztrę. Ale o tym potem... Najpierw bowiem pojechaliśmy do Jallianwalla Bagh, czyli niegdyś publicznego ogrodu, w którym 13 kwietnia 1919 roku gen. brygady Reginald Dyer rozkazał żołnierzom armii brytyjskiej strzelać do nieuzbrojonych Indusów (cywilów), wskutek czego zginęło co najmniej 400 osób a ponad 1000 zostało rannych. W tym niewielkim parku pamięci zobaczyć można pomnik ofiar tamtej masakry, choć większe wrażenie robią pozostałości zabudowań parkowych, w których ciągle widać ślady po wystrzelonych kulach. A stamtąd pieszo poszliśmy (bo odległość niewielka) do Złotej Świątyni, po drodze „hacząc” o sklep, żeby zaopatrzyć się w litrowe butelki wody i... świątynię mamony, czyli kantor, bo ostatecznie trzeba za coś tę wodę kupować. A wody pijamy tutaj hektolitry, bo temperatury sięgają ponad 40 stopni. W dodatku Amritsar jest miejscem szczególnie gorącym i trzeba pić, żeby nie stracić przytomności.

No więc ruszyliśmy w stronę Golden Temple... przed wejściem obowiązkowo trzeba zostawić buty, ale to dla nas nic nowego. Tutaj jeszcze każdy kto chce wejść na teren świątyni musi nałożyć na głowę pomarańczową, średnio gustowną chusteczkę. Wejścia do świątyni i porządku w jej obrębie pilnują strażnicy - wysocy Sikhowie odziani w niebieskie, widoczne z daleka tuniki i wspierający się na długich ostro zakończonych „pikach”. Wchodząc na teren kompleksu świątynnego trzeba przejść przez rodzaj fosy i tym samym symbolicznie obmyć stopy. Nasza grupa zrobiła co trzeba i po białych marmurowych schodach weszliśmy, by zobaczyć mieniącą się w słońcu faktycznie Złotą Świątynię. Widok zapiera dech w piersiach... Świątynia pięknie odbija się w niebieskich, krystalicznie czystych wodach basenu, który ją otacza i broni do niej dostępu. W tej wodzie pływają karpie, a wierni nurzają się rytualnie, szepcząc modlitwy. W Złotej Świątyni, najważniejszej dla Sikhów złożona jest i śpiewnie odczytywana Pani Księga. Nam dane było zobaczyć wewnątrz świątyni i Panią Księgę, ale musieliśmy swoje odstać w kolejce przez Most Guru, łączący ją z brzegiem sadzawki. Na terenie kompleksu świątynnego zjedliśmy też posiłek serwowany za darmo przez Sikhów wiernym i niewiernym - odwiedzającym, a potem usiedliśmy w kręgu i Martynka wygłosiła referat na temat sikhizmu, którym zainteresowali się (oczywiście oprócz nas) sami Sikhowie, którzy przyglądali się nam bacznie a nawet przeganiali bardziej natrętnych gapiów, żeby nikt nam nie przeszkadzał. Do świątyni wróciliśmy jeszcze tego samego dnia wieczorem, żeby zobaczyć Złotą Świątynię w świetle księżyca i pięknie podświetloną kolorowymi lampami.

A popołudnie zajęło nam dotarcie na Atari Road, żeby zobaczyć ceremonię zamknięcia granicy z Pakistanem. Do granicy pojechaliśmy rykszami, a po drodze kupiliśmy flagi Indii,



czapki w kolorach flagi indyjskiej, a niektórzy z nas (w tym Kumar i ja) pozwolili sobie namalować flagę indyjską na rękach i buziach. To co zobaczyliśmy na granicy przerosło nasze wyobrażenia. Kumar, który widział już to „przedstawienie” z niekłamanym zadowoleniem przyglądał się jak młodym opadają szczęki. Bo show na granicy jest szczególnie. Chętnych, żeby je zobaczyć są tysiące. Przy granicy jest amfiteatralna widownia i billboardy, które ułatwiają oglądanie tego, co się dzieje najdalej siedzącym. A dzieje się! Bohaterami widowiska są oczywiście żołnierze i po jednej i po drugiej stronie granicy ubrani w galowe mundury, których najdziwniejszą częścią są nakrycia głowy, przypominające kogucie grzebienie albo irokezy. Ale zanim swoje zrobią oficerowie, jeden z nich rozdaje flagi indyjskie kobietom, chętnym do pomachania nimi „przed nosami” Pakistańczyków, a potem jest prawdziwa dyskoteka na granicy... nie powiem, nosiło nas. Tłum szalał, skandował i śpiewał. My też, a co! A potem zaczął się pokaz sił żołnierzy obu stron. I jedni i drudzy podbiegali i podchodzili do bram granicznych, wykonując przedziwne kroki. Indyjscy żołnierze maszerując, podnoszą nogi niemal do wysokości uszu i czubka głowy (normalne MINISTERSTWO GŁUPICH KROKÓW rodem z Monty Pythona), robią wykopy, miny, podkrecają wąsy, grożą rękami żołnierzom po stronie pakistańskiej. To wszystko jest teatralnie przerysowane tym bardziej im bardziej przybiera na sile konflikt Indie - Pakistan. Tłum szalał, oglądając to przedstawienie. Im głośniejsz trąbili Pakistańczycy, tym głośniejsz było po stronie indyjskiej... My też gardeł nie oszczędzaliśmy. A podczas trwania ceremonii sprzedawane są napoje, lody i rozmaite gadzety z parasolkami włącznie.

Wieczorem wróciliśmy do hotelu i zaczęliśmy się pakować z zamiarem przejścia na pociąg, który miał nas dowieźć do Dżammu, a autobus potem do Śrinagaru w Kaszmirze. I... nastąpiła nastąpiła nagle zamiana planów w związku z trudną sytuacją w Kaszmirze właśnie. Bezpieczeństwo najważniejsze. Noc przespaliśmy w Amritsarze, a rano, wanami, ruszyliśmy do MANALI.